



Młodzieżowa  
Agencja  
Wydawnicza  
RSW  
„Prasa-Książka-Ruch”

028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

TEATR

Warszawa, ul. Jakubowska 14

6

-06-86

z dn

# 219 Janulka, córka Becketta i Różewicza

MALGORZATA DZIEDUSZYCKA

Teatr Polski we Wrocławiu: *JANULKA, CÓRKA FIZDEJKI* Stanisława Ignacego Witkiewicza. Opracowanie tekstu i reżyseria: Jacek Bunsch, scenografia: Wojciech Jankowiak i Michał Jędrzejewski, muzyka: Zbigniew Karnecki, ruch sceniczny: Jerzy Stępiak. Premiera 31 I 1986 (fot. Adam Hawalej)

Pole szmat, rozległe po horyzont. Wynurza się z nich fortepian i okazała, złożona rama łóżka. Sterczy duży zegar o przezroczystej skrzyni i nieruchomych wskazówkach. Na krawędzi, w górze podestu stoi tyłem do widowni inwalidzki fotel. Siedzi na nim von Plasewitz i patrzy w dal, w niebo. Gwiazdy na niebie są jak układy skalone. Chłód i sztuczność. Postaci sztuki wynurzają się ze szmat i nikną w nich. Ich świat jest gigantycznym barlogiem.

Od pierwszego wejrzenia czujemy, że scenografia (Wojciech Jankowiak i Michał Jędrzejewski) jest świetna. Funkcjonalna

i mądra. Piękna. Całkowicie zdominowała to przedstawienie. Określiła kierunek inscenizacji i interpretację sztuki, nadała jednoznaczny sens. I właściwie obojętne, co by się w tej scenarii miało rozgrywać, czy mówiłoby się tekstem *Hamleta*, czy *Moralności pani Dulskiej*. Wszystko miało być piętno *Koncówki* i *Starej kobiety*...

Oto kres świata, koniec wartości, hierarchii, logiki historii i psychologicznych reguł. Koniec sensu. Kres, poza którym nie ma już absolutnie nic. Na tym krańcu ocalały jeszcze fragmenty dawnego życia, resztki minionej świetności, strzępy spo-

lecznych reguł i konwencji, resztki wielkości. Snują się jak sen albo jak zatarte wspomnienie. To jedynie ślad istnienia, raczej bez emocji, dramatyczne wydarzenia bez konsekwencji, konsekwencje bez doprowadzających do nich wydarzeń.

Relacje między postaciami też nie mają już żadnego znaczenia. Janulka mogłaby być równie dobrze ciotką Fizdejki, a Mistrz babką fortepianu. Tutaj nie zmieniłoby się przez to nic.

W *Janulce, córce Fizdejki* — tak jak to napisał Witkacy — różne formy rzeczywistości przenikają się. Kawiarnia, zamek, romantyczny las, salon, ogród i piernaty zajmują kolejno swoje miejsca w ślad za tworzonymi przez bohaterów „sztucznymi jaźniami”. Jacek Bunsch pominął właściwie Witkacowską koncepcję transformacji, obdzierając tym samym sztukę z bogactwa znaczeń, przy jednoczesnym bogactwie teatralnej formy. Nie-

spodzianka i zaskoczenie są w tym spektaklu w warstwie bardzo zewnętrznej, przede wszystkim w surrealistycznych obrazach (takich jak przezabawne pojawienie się bojarów).

Postaci w jego *Janulce*... są takie same od początku do końca. Niektóre oryginalne, charakterystyczne, śmieszne, ale wszystkie — poza Fizdejką — z góry określone i — nietaktownie wobec Witkacego — w tym swoim dookreśleniu konsekwentne.

W małych, dość precyzyjnie zagranych rolach nie uważam tego za błąd: Małpigiusz Glissander (Andrzej Szopa) jako natchniony artysta z obłąkanym błyskiem w oku, Elza Fizdejkowa (Danuta Balicka) skupiona, zagłębiona w sobie, jakby nieobecna, Jöel Kranz (Zbigniew Waleryś) spontaniczny, tryskający energią, Księżna Amelia de la Trefouille (Ewa Kamas) sztywna, z nieruchomą twarzą woskowej

Zdzisław Sośnierz (Alfred de la Trefouille), Halina Skoczyńska (Janulka), Danuta Bałicka (Elza)

figury — tworzą oni charakterystyczny ornament inscenizacji. Od postaci pierwszoplanowych chciałoby się natomiast czegoś więcej. W tej właśnie sztuce szczególnie istotna wydaje się być nieustanna autokreacja postaci, ciągle przeobrażenia. (Daniel Gerould widzi w niej wpływ, jaki wywarła na Witkacego filozofia Nietzschego, owo uparcie powracające pytanie: kim właściwie jestem?) Bohaterowie *Janulki*, odrzucając doświadczenie własnej przeszłości, istnieją jedynie poprzez wymyślone przez siebie role. Posługują się przy tym trudnym, niekomunikatywnym językiem. Niemal nie prowadzą dialogów. Jest to, rzecz jasna, niesłychanie trudne do zagrania.

A jednak Igorowi Przegrodzkiemu to się udało. Jego *Fizdejko* jest wielką kreacją, zapewne jedną z największych w inwentarzu ról w sztukach Witkacego. Przegrodzki jawi się jako autentycznie czuły tatuś, troskliwy mąż, despotyczny tyran, aby za moment pokazać swój dystans do kolejnego wcielenia. Przegrodzki gra *Fizdejkę* mądrego, odartego ze złudzeń, że cokolwiek zrobi, będzie to miało znaczenie dla niego, dla innych, czy w ogóle dla historii. *Fizdejko* wie, że choć stare formy giną, nowe tworzą się takie same. Że ten barłóg i tak ich wszystkich pochłonie. Momentami jest komiczny, momentami przejmujący. Scena, w której szamoce się w przezroczyściej klatce zegara, niesie w sobie jednocześnie i komizm, i tragiczność. To piękny pomysł inscenizatorski. Ale gdy w ostatnim akcie Przegrodzki-*Fizdejko* siedzi na proscenium i mówi wprost do widowni, uzyskuje ten sam metafizyczny efekt samą tylko magią swojego aktorstwa.

Dla tego *Fizdejki* *Mistrz*



Gottfried (Zbigniew Lesień) nie jest, niestety, partnerem, U Witkacego *Mistrz*, pełen sprzeczności i histerycznej szarpaniny, przechodzi przez eksperymenty moralne. Gotuje się w nim. U Bunscha jest jednowymiarowy, płaski, jak bohater komiksu. Jeszcze bardziej irytująca i niezrozumiała jest rola *Janulki* (Halina Skoczyńska). Dlaczego jest nieustannie rozkraczona? Nie wiadomo: wamp czy dziewczątka, naiwna czy cyniczna, namiętna czy wygimnastykowana? Nie, to nie są kolejne wcielenia i zmiany jaźni, w żadnym momencie nie wiadomo, kim ona jest i kim ma być. Czy rozumie coś z tego, co mówią do

niej inne postacie? Czy aktorka zrozumiała cokolwiek z tego, co mówił do niej reżyser?

Jacek Bunsch zgrabnie tworzy kolejne obrazy spektaklu. Bogate wizualnie przedstawienie wrocławskie jest świetnie zakomponowane. Nie ma w nim „dziur” i nie ma chaosu. Wszystkie ruchy, wejścia, przesunięcia aktorów współgrają i logicznie się tłumaczą. Ale zbyt łatwo, moim zdaniem, reżyser przesłiznął się po esencji dramatu. *Janulka...* to sztuka „o zmaganiu się w obronie przed „zbydłaceniem”. Bohaterowie próbują stworzyć siebie od nowa, tworzą „nowe jaźnie”, nowe podziały ról, nową politykę,

uciekają od tych prób i powracają. To zmaganie się jest rozpaczliwe, beznadziejne, ale trwa i w nim tkwi cały dramat. Tymczasem we Wrocławiu *Janulka...* toczy się od początku do końca w epoce zbydłecenia. Faza przejściowa jest już za haterami. Nieszczęśli, są jedyni eksponatami z muzeum. Pytanie *Fizdejki*: „Jak żyć? Jak na istotniej przeżyć siebie?” jest bezsensowne. Wszystko dawno przepadło.

PS. Dlaczego Jöel Kranz wstepuje z maszyną do pisania? Czy to ma być twórca literackiej fikcji? Witkacy? Zabawne to wygląda, ale sensu brak.